



BESTSELLER „NEW YORK TIMES”
I „THE SUNDAY TIMES”

Zakon Drzewa Pomarańczowy

część I

SON
imaginatio

SAMANTHA
SHANNON

CZĘŚĆ 1

Zakon Drzewa Pomarańczy

SAMANTHA
SHANNON

Tłumaczenie: Maciej Pawlak

Kraków 2019

Zakon Drzewa Pomarańczy

SAMANTHA
SHANNON

Tłumaczenie: Maciej Pawlak

Kraków 2019

The Priory of the Orange Tree

Copyright © by Samantha Shannon-Jones 2019
International Right management: Susanna Lea Associates

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2019
Copyright © for the translation by Maciej Pawlak 2019

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Monika Kardasz / Manufaktura Tekstu

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Adaptacja okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Rysunek na okładce – Ivan Belikov / ivanbelikov.com

Rysunki wewnątrz książki – Emily Faccini

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, tom I, Kraków 2019

ISBN: 9788381293341



433

Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w wydanie *Zakonu Drzewa Pomarańczy*:

PRODUKCJA: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa

DESIGN I GRAFIKA: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

PROMOCJA: Piotr Stokłosa, Łukasz Próchno, Gabriela Matlak, Aldona Liszka

SPRZEDAŻ: Tomasz Nowiński, Patrycja Tałaga, Karolina Żak

E-COMMERCE: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś

ADMINISTRACJA I FINANSY: Klaudia Sater, Monika Płuska, Honorata Nicpoń, Ewa Bieś

ZARZĄD: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziaś

WSPARCIE: Natalia Patorska

www.wsqn.pl

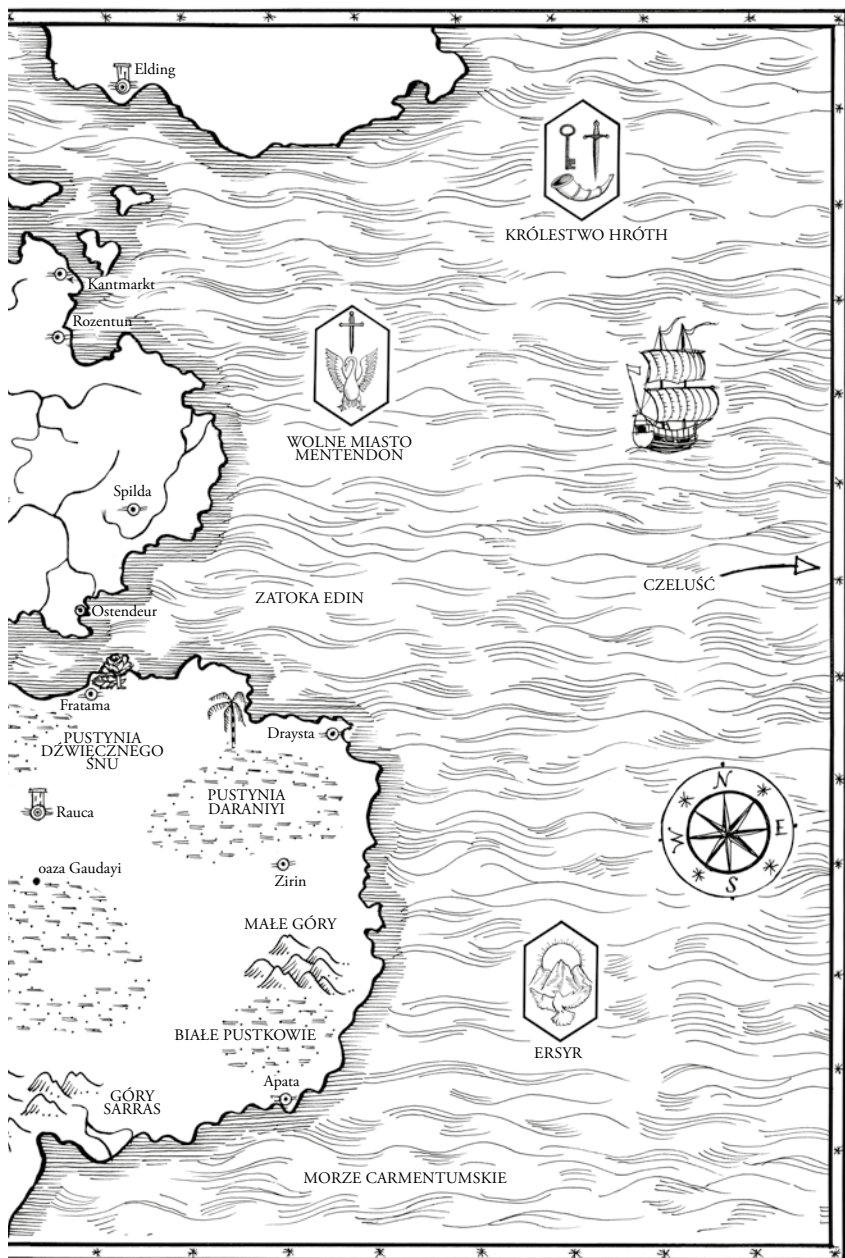
www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

Nota odautorska

Fikcyjne krainy, o których przeczytacie w *Zakonie Drzewa Pomarańczy*, są owocem inspiracji wydarzeniami i legendami z wielu różnych stron świata. Żadna z nich nie ma reprezentować danego kraju czy kultury w określonym punkcie na osi czasu.







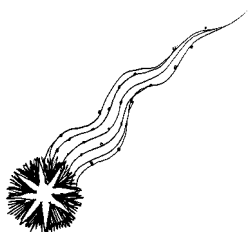


I

Stare legendy

Potem ujrzałem anioła, zstępującego z nieba, który miał klucz od Czeluści i wielki łańcuch w ręce. I pochwycił Smoka, Węża starodawnego, którym jest diabeł i szatan, i związał go na tysiąc lat. I wtrącił go do Czeluści, i zamknął, i pieczęć nad nim położył, by już nie zwodził narodów, aż tysiąc lat się dopełni.

Ap 20,1–3 (za Biblią Tysiąclecia)



1

Wschód

O bcy wyłonił się z fal niczym morska zjawą. Był boso, a jego ciało znaczyły blizny powstałe w czasie długiej podróży. Szedł chwiejnym krokiem jak pijany, przedzierając się przez kłęby mgły, które czepiały się Seiiki jak pajęczyna.

Legendy mówiły, że morskie duchy muszą wieść życie w ciszy. Że ich języki zwiędły, tak jak ich skóra, i że ich kości nie okrywa nic poza wodorostami. Że czają się pośród cieni, czyhając na nieostrożne ofiary, które wciągają głęboko w serce Czułości.

Tané nawet jako dziecko nie bała się tych opowieści. Do- byty sztylet dobrze leżał w dłoni, zakrzywiona klinga przy- wodziła na myśl złowróbnny uśmiech. Wpiła się wzrokiem w postać w mroku nocy.

I wzdrygnęła się, gdy owa postać zawołała do niej.

Blask księżycy przedarł się przez chmury i zobaczyła go całego. A on ją.

To nie był duch, tylko jakiś cudzoziemiec. Widziała go teraz i nie mogła oderwać oczu.

Był ogorzały od słońca, mokre włosy zlepiły się w strąki, z podbródka kapiała woda. Przemysłowcy musieli wrzucić go do morza, by resztę drogi do brzegu pokonał wpław. Zorientowała się, że nie zna ani słowa w jej języku, ale zrozumiała, że prosi o pomoc. Że przybył tu, by spotkać się z wojewodą Seiiki.

Jej serce tłukło się w piersi jak bryła piorunu. Nie odważyła się powiedzieć słowa, bo gdyby pokazała mu, że zna jego język, związałyby się z nim niewidzialną nicią i zdradziła się przed nim. Przyznałaby, że jak ona stała się świadkiem jego zbrodni, tak on stał się świadkiem jej.

Powinna być teraz w odosobnieniu, bezpieczna za murami Domu Południa, gotowa, by – przeszedłszy rytuał oczyszczenia – przeżyć ten najważniejszy dzień w swoim życiu. Lecz teraz stała się zbrukana. Skalana i niegodna odkupienia. I wszystko dlatego, że chciała raz jeszcze zanurzyć się w morzu, nim nadejdzie Dzień Powołania. Krążyły pogłoski, że wielki Kwiriki sprzyja tym, którzy mają dość ikry, by się wymknąć za mury i w czasie odosobnienia szukać morskich fal. Ale zamiast przychylności wielki Kwiriki zesłał na nią ten koszmar.

Nadszedł czas zapłaty za długie i szczęśliwe życie.

Oddzieliła się od obcego sztyletem. A on, rozumiejąc, że stoi twarzą w twarz ze śmiercią, zaczął drżeć.

Gorączkowo ważyła w głowie możliwości, a każda wiązała się ze straszniejszymi konsekwencjami niż poprzednia. Jeśli doprowadzi tego cudzoziemca przed oblicze władz, spotka ją kara za złamanie zasad odosobnienia.

A wtedy Dzień Powołania nie nastąpi. Czcigodny gubernator Przylądka – tej prowincji Seiiki – nie dopuści do tego, by bogowie wniknęli do miejsca skalanego czerwoną zarazą. Mogą upłynąć całe tygodnie, nim miasto na powrót zostanie

uznane za bezpieczne, a do tego czasu zapadnie decyzja, że przybycie obcego to zły omen i że to nie ona i jej rówieśnicy, a kolejne pokolenie akolitów zostanie wyniesione do rangi jeźdźców. Straci wszystko.

Wiedziała, że nie może na niego donieść. Ale nie może go też zostawić. Bo jeśli ma czerwoną zarazę, choroba zaraz rozprzestrzeni się na całą wyspę.

Mogła zrobić tylko jedno.

Owinęła mu twarz strzępem materiału, zakrywając usta, by nie zaraził jej oddechem. Spostrzegła, że drżą jej ręce. Gdy zawiązała węzeł, szturchnęła nieznajomego i zabrała go z czarnych piasków plaży do miasta. Szła tak blisko niego, jak się odważyła, przyciskając mu sztylet do pleców.

Przylądek Hisan to jeden z tych portów, które nigdy nie śpią. Prowadziła cudzoziemca pomiędzy straganami nocnego bazaru i kapliczkami wzniesionymi z wyrzuconego na brzeg drewna; nad ich głowami unosiły się zawieszone z okazji Dnia Powołania sznury błękitnych i białych lampionów. Nieznajomy co jakiś czas oglądał się na nią trwożliwie, zachowując milczenie. Jego twarz zasnuwał półmrok, ale wołała dmuchać na zimne i płazem sztyletu kazała mu pochylić głowę. Cały czas pilnowała, by nie zbliżył się zanadto do mijających go, skupionych na ulicy w niewielkich grupach przechodniów.

Nie widziała, jak inaczej miałyby odizolować go od mieszkańców Hisan, jak tylko umieściwszy go na Orisimie, sztucznej wyspie uczepionej przylądka, jakby się bała, że zsunie się w morskie odmęty. Stanowiła swoistą ciekawostkę nawet dla tubylców. Faktorię ustanowiono, by pomieścić w niej garstkę kupców i uczonych z Mentendonu. Pomijając Jezioran, którzy zamieszkiwali przeciwny skraj przylądka, tylko

Mentyjczykom zezwalano na handel na Seiiki po tym, jak wyspa została odcięta od reszty świata.

Tak, Orisima nada się w sam raz.

Oświeconego pochodniami mostu do faktorii strzegli liczni strażnicy. Niewielu Seiikinesom pozwalano go przekroczyć, a ona nie była jedną z uprzywilejowanych. Inna droga wiodła przez bramę, którą otwierano tylko raz do roku, by rozładować statki handlowe z Mentendonu.

Tané wprowadziła obcego do kanału. Nie mogła wyprawić go na Orisimę sama, ale знаła kogoś, kto mógł. Pewną kobietę, która będzie wiedziała, w którym kącie faktorii go ukryć.

Niclays Roos nie pamiętał już, kiedy ostatnio ktoś go odwiedził. Gdy rozległo się pukanie do drzwi, akurat napełniał kieliszek winem. Każdemu należy się odrobina przyjemności, a wino było jedną z niewielu, jakie mu jeszcze zostały; Niclays z lubością raczył się jego wonią, umyślnie wydłużając rozkoszny moment oczekiwania na pierwszy łysek.

I oczywiście akurat teraz ktoś lichy przyniosło. Westchnąwszy, dźwignął się z fotela i warknął, gdy kostka odezwała się bólem. Podagra znów dawała mu się we znaki.

Znowu pukanie.

– No przecież idę – bąknął pod nosem.

Sięgnął po łaskę, dopiero teraz zwracając uwagę na deszcz bębniący o dach. Seiikinesi mówili o takich ulewach o tej porze roku, gdy powietrze przyginało do ziemi swym ciężarem, a owoce kołysały się na drzewach, że to „padają śliwy”. Niclays przeciął wyłożoną matami podłogę, utykając i klęcząc pod nosem. Dotarłszy do drzwi, uchylił je na pół cala.

Na dworze w ciemności stała kobieta. Rozpuszczone ciemne włosy sięgały jej do pasa, miała na sobie szaty ozdobione

wzorem solnych kwiatów. Była o wiele zbyt mokra, by należało za to winić wyłącznie deszcz.

– Dobry wieczór, doktorze Roos – wyrzekła.

Niclays uniósł brew.

– Bardzo nie lubię, gdy odwiedza się mnie o tej porze. W zasadzie o każdej porze. – Powinien się skłonić, ale był zbyt poirytowany, by siłować się na puste uprzejmostki. – Skąd znasz moje imię?

– Ktoś mi powiedział. – To wszystko, żadnego innego wyjaśnienia. – Jest tu ze mną jeden z twoich krajanów. Przenocuje dziś u ciebie, przyjdę po niego jutro o zmroku.

– Moich krajanów?

Gość nieznacznie przekrzywił głowę. Od ciemnego zarysu pobliskiego drzewa oderwała się w mroku ludzka sylwetka.

– Przemysłowcy dowieźli go do Seiiki – wyjaśniła kobieta. – Jutro zabiorę go do czcigodnego gubernatora.

Gdy tajemnicza, również przemoczona do suchej nitki postać za jej plecami podeszła do światła, widok ściał Niclaysowi krew w żyłach.

Nigdy nie widział na Orisimie nikogo podobnego.

W faktorii mieszkało dwudziestu ludzi. Znał każdego z twarzy i imienia. A statki z Mentendonu przyplłyną dopiero za kilka miesięcy.

Jednak ci dwoje dotarli tu niespostrzeżenie.

– Nie – odparł Niclays, wpatrując się w nieznajomą. – Na Świętego, kobieto, czy ty próbujesz wpłatać mnie w jakieś brudne przemysłnicze sprawy? – Sięgnął do klamki, ale dłoń mu się omsknęła. – Nie wolno mi ukrywać przestępcy. Gdyby ktoś się dowiedział...

– Jedna noc.

– Jedna noc, miesiąc, rok – cena jest ta sama, a mianowicie szafot. Żegnam.

Gdy próbował domknąć drzwi, kobieta wepchnęła łokieć między nie a futrynę.

– Jeśli się tego podejmiesz – powiedziała tak blisko jego twarzy, że Niclays czuł jej oddech na policzku – otrzymasz sowite wynagrodzenie w srebrze. Tyle, ile zdołasz unieść.

Niclays Roos zawahał się.

Srebro, kuszące... O raz za dużo dał się naciągnąć strażnikom na pijacką grę w karty i już był im dłużny o wiele więcej pieniędzy, niż zdołałby zarobić przez resztę życia. Jak dotąd zbywał wierzycieli obietnicami szlachetnych kamieni, które przypłyną na wyspę pierwszym statkiem z Mentendonu, choć wiedział, że dla takich jak on nie znajdzie się nawet najlichszy kamyk.

Młodsza część jego duszy nalegała, by przyjął propozycję, choćby tylko dla heczy. Zanim zdołała zainterweniować ta starsza, kobieta cofnęła się w mrok.

– Wrócę jutro pod osłoną nocy – wymówiła. – Pilnuj, by nikt go nie zobaczył.

– Poczekaj – syknął za nią wściekle. – Kim ty jesteś?

Ale kobieta rozpułnęła się w ciemności. Gdyby jego sąsiedzi zorientowali się, że udzielił schronienia intruzowi, natychmiast zostałby zawleczony przed oblicze rozeźlonego wojwładcy, który słynał z wielu rzeczy, lecz na pewno nie z miłosierdzia.

A jednak oto Niclays stał na własnym progu obok intruza, którego zobowiązał się gościć.

Zamknął za nim drzwi. Mężczyzna drżał pomimo panującego w przedpokoju gorąca. Jego oliwkowa skóra była spalona na policzkach, błękitne oczy wciąż łzawiły od morskiej soli. Niclays sięgnął po przywieziony z Mentendonu koc – jak podejrzewał, tylko po to, by zająć czymś ręce i się

uspokoić – i podał mężczyźnie. Gość przyjął tkaninę bez słowa. Bał się. I dobrze, bo miał ku temu powody.

– Skąd przybywasz? – Gospodarz zdobył się na kurtuazję.

– Przepraszam, nie rozumiem – odszepnął przybysz. – Mó-wisz po seiikinesku?

Inysycki. Już dawno nie słyszał tego języka.

– To nie był seiikineski – odparł Niclays w języku gościa. – Tylko mentyjski. Założyłem, że stamtąd pochodzisz.

– Nie, panie. Jestem z Ascalonu – odparł wątlým głosem. – Czy wolno mi spytać o twoje imię? Wiele ci zawdzięczam.

Typowy Inysyta. Przede wszystkim uprzejmość, później cała reszta.

– Roos – wypuł Niclays. – Doktor Niclays Roos. Mistrz chirurg. Człowiek, którego życie rzuciłeś na szalę, przekraczając próg jego domu.

Młodzieniec wlepił w niego wzrok.

– Doktor... – Przełknął ślinę. – Doktor Niclays Roos?

– Tak, młodzieńcze. Widzę, że morska woda nie wywarła ci uszu.

Mężczyzna wziął rozedrgany oddech.

– Doktor Roos – wznowił. – To opatrzność postawiła cię na mej drodze, panie. Jak inaczej wytłumaczyć to, że ze wszystkich ludzi to właśnie do pana skierowała mnie Rycerka Przyjaźni...

– Do mnie...? – Niclays uniósł brew. – Czy my się znamy?

Wyteżył pamięć, sięgając do czasów, które spędził w Inys, choć i tak był pewien, że widzi przybysza po raz pierwszy. Chyba że spotkał go już, ale gdy był pijany. A na Inys często bywał pijany.

– Nie, panie, ale przyjaciel zdradził mi twoje imię. – Otarł twarz rękawem. – Byłem pewien, że zginę na morzu, ale twój widok wrócił mi życie. Dzięki niech będą Świętemu.

– Święty nie ma tu żadnej mocy – wymamrotał doktor. – A ty, chłopcze, masz jakieś imię?

– Zwę się Sulyard, panie. Triam Sulyard, do usług. Byłem giermkim na dworze jej wysokości Sabran Berethnet, królowej Inys.

Niclays zacisnął szczękę. To imię zbudziło uśpioną w jego trzewiach zimną furję.

– Giermkim... – Usiadł. – Czy mam zrozumieć, że Sabran znudziła się tobą, tak jak nudzi się wszystkimi swymi poddanymi?

Sulyard zjeżył się na te słowa.

– Jeśli obrazisz moją królową, panie, to...

– To co? – Niclays zmroził go wzrokiem znad okularów. – Sulyard, mówisz? Durniard to dla ciebie lepsze imię. Czy ty zdajesz sobie sprawę, co tutaj robi się z obcymi? Czy Sabran przysłała cię tu na powolną i bolesną śmierć?

– Jej Wysokość nie wie, że tu jestem.

A to ciekawe. Niclays nalał przybyszowi wina.

– Masz – rzucił z pretensją. – Wypij. Najlepiej od razu do dna.

Sulyard opróżnił kielich.

– Posłuchaj mnie teraz, Sulyardzie, i skup się, bo sprawa jest poważna – podjął gospodarz. – Ilu ludzi cię widziało?

– Kazali mi płynąć do brzegu. Najpierw dotarłem do zatoki. Piasek był czarny. – Sulyardem wciąż wstrząsały dreszcze. – Natknąłem się na kobietę, która wprowadziła mnie do miasta na ostrzu sztyletu. Zostawiła mnie samego w stajni... a potem przyszła inna kobieta i kazała mi iść za sobą. Zabrała mnie nad morze, płynęliśmy, aż dotarliśmy do pomostu. Na jego końcu była brama.

– Otwarta?

– Tak.

A więc kobieta ma konszachty z którymś ze strażników. Musiała go poprosić, by nie zamykał bramy.

Sulyard potarł oczy. Czas spędzony na morzu odznaczył się na jego twarzy, ale Niclays widział teraz, że jego gość jest bardzo młody. Chyba nie przekroczył jeszcze dwudziestki.

– Doktorze Roos – zwrócił się do starca. – Przybyłem tutaj, by wykonać pewną bardzo ważną misję. Muszę porozmawiać z...

– Pozwól, że ci przerwę – wszedł mu w zdanie Niclays. – Nie interesuje mnie, dlaczego tu jesteś.

– Ależ...

– Niezależnie od powodu, przybyłeś tutaj bez uzyskania zgody władz, co jest skrajnym idiotyzmem. Jeśli główny oficer zdybie cię tutaj i zawlecze na przesłuchanie, chcę móc powiedzieć, zgodnie z prawdą, że nie mam bladego pojęcia, dlaczego wylądowałeś akurat na moim progu w środku nocy, myśląc najwyraźniej, że ktoś powita cię z honorami.

– Główny oficer? – Sulyard zamrugał.

– Seiikineski urzędas, pierwszy po bogach na tym pływającym wysypisku, a sam mający się najwyraźniej za pomazańca bożego. Czy wiesz chociaż, gdzie się znajdujesz?

– To Orisima, ostatnia zachodnia faktoria na Wschodzie. Jej istnienie dało mi nadzieję, że wojwódca zechce mnie wysłuchać.

– Zaręczam, że Nadama Pitosu pod żadnym pozorem nie udzieli posłuchania intruzowi. Gdy tylko cię zwęszy, każe cię stracić.

Sulyard milczał.

Niclays przez chwilę rozważał, czy nie powiedzieć gościowi, że jego wybawczyni najprawdopodobniej planuje donieść na niego władzom. Postanowił tego nie robić. Sulyard

mógłby wpaść w popłoch i spróbować uciec, a przecież nie miał dokąd.

Byle do jutra. Jutro już go tu nie będzie.

W tym momencie do uszu Niclaysa dobiegły jakieś głosy. Kroki na drewnianych schodach wiodących do któregoś z pobliskich domów. Poczuł ucisk w żołądku.

– Schowaj się – powiedział i sięgnął po laskę.

Sulyard skrył się za parawanem, a Niclays otworzył drzwi, bezskutecznie próbując opanować drżenie rąk.

Wieki temu pierwszy wojwódca Seiiki podpisał Wielki Edykt i odizolował wyspę od reszty świata z wyłączeniem Jezioran i Mentyjczyków, chcąc bronić obywateli przed smoczą plagą. Ale nawet gdy plaga minęła, wyspa wciąż pozostawała odcięta. Na jego mocy nielegalni przybysze podlegali karze śmierci. Tak jak każdy, kto udzielał im schronienia.

Nie dostrzegł na ulicy strażników, ale ujrzał zbierających się sąsiadów. Niclays dołączył do nich.

– Co tu się dzieje, jak mi Galian miły? – rzucił do kuchacza, który gapił się na jakiś punkt ponad ich głowami z gębą rozdziawioną tak szeroko, że mógłby łapać do niej motyle. – Harolcie, odradzam przybierania w przyszłości tego wyrazu twarzy. Ktoś weźmie cię za przyglupa.

– Pan patrzy, doktorze! – wydyszał kuchacz. – O tam!

– Jeśli to jakiś żart, to...

Umilkł w pół słowa, gdy w końcu zobaczył.

Ponad bramę Orisimy wyjrzała olbrzymia głowa. Należała do stworzenia zrodzonego z klejnotów i morza. Para unosiła się z jego łusek z kamienia księżycowego, tak jasnych, że zdawały się lśnić wewnętrznym blaskiem. Każdy pokrywała skorupa podobnych do drogich kamieni kropelek. Każde jego oko było niczym płonąca gwiazda, każdy róg wydawał

się ulepiony z rtęci, co lśniła w bladym świetle księżyca. Stwór poruszał się z gracją tańczącej na wietrze wstęgi, wzleciał ponad bramą i wzniósł się wysoko w niebo, lekko i cicho jak papierowy latawiec.

Smok. Gdy frunął nad Przylądkiem Hisan, jego pobratymcy wyłaniali się z wody, zostawiając za sobą ślad chłodnej mgły. Niclays nakrył dłonią rozkołataną w piersi serce.

– A co one tu robią? – wyszeptał.

Koniec fragmentu
Zapraszamy do księgarń



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

